

BĄDŹ CO BĄDŹ



Piewcy zdrowego rozsądku

O tym, że między napisaniem powieści, skomponowaniem symfonii, czy nakręceniem filmu a ich skuteczną promocją rozciąga się głęboka przepaść, wiedzą wszyscy artyści i tylko nieliczni odbiorcy. Z punktu widzenia statystycznego słuchacza, widza i czytelnika mechanizmy promocji przypominają sprężyny ukryte wewnątrz kanapy, są integralną częścią funkcjonalnego mebla, którego zastosowanie nie ma niczego wspólnego z pokretną naturą sprężyny. Rzecz jasna, z punktu widzenia licznych twórców kanapy sprawa wygląda inaczej i często jest problematyczna. W odróżnieniu od kanap, sprężyn i innych przedmiotów, które nas otaczają, niektóre przejawy kultury zwane dziełami sztuki są dziwnie niesubstancjonalne, a kwestia ich użyteczności jest wielce niejednoznaczna. I właśnie z tego powodu apologeci ścisłości, trwałości i użyteczności nie wierzą w promocję kultury.

IGOR WIECZOREK

Nie widzą powodów, dla których należy wydawać pieniądze na zachwalanie powieści, symfonii, obrazów, czy filmów, bo są przekonani o tym, że te dyskusyjne zjawiska reklamują się same. Ci piewcy zdrowego rozsądku twierdzą, że stoją na straży prawdziwych, trwałych wartości, a przecież zdrowy rozsądek, na który się powołują, mówi, że stoją na straży ignorancji i złudzeń. Kultura nie jest złudzeniem, bo nie jest zwartą substancją, ale burzliwym procesem promowania wartości, których pole rażenia wykracza poza kulturę i obejmuje dosłownie wszystkie dziedziny życia. Kultura jest dźwignią handlu, polityki, edukacji a nawet hazardu i sportu.

Specjaliści od spraw stosunków międzynarodowych zgadzają się co do tego, że kultura

jest kartą przetargową w stosunkach międzyludzkich i międzynarodowych.

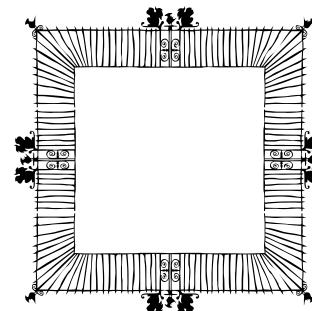
Z kolei wielu ekonomistów jest przekonanych o tym, że powojenny sukces gospodarki niemieckiej jest przede wszystkim efektem brawurowej polityki kulturalnej. Odkąd minister spraw zagranicznych RFN, Willy Brandt, oświadczył w 1966r., że kultura jest po polityce i handlu „trzecim filarem” polityki zagranicznej, Niemcy wciąż zastępują wizerunek narodu bezlitosnych oprawców wizerunkiem narodu pracusiów i pięknoduchów. I dobrze na tym wychodzą.

Niestety największym sukcesem naszej polityki kulturalnej jest wizerunek barczystego hydraulika, który zaprasza Francuzki do Polski hasłem „Zostaję w Polsce, przyjeżdżajcie licznie”. Wiele wskazuje na to, że nie umiemy prowadzić polityki wizerunkowej głównie z tego powodu, że nie promujemy kultury. Wymownym tego przykładem może być sytuacja odrodzonej kinematografii polskiej. Nasze najlepsze filmy, takie jak „Rewers”, „Dom zły”, czy „Fabryka muchołapek” mają ogromne kłopoty z dotarciem do światowej widowni, bo dystrybutorzy filmów z Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej nie potrafią nawiązać współpracy z producentami tych filmów. Znakomity krytyk filmowy, Tadeusz Sobolewski, twierdzi nawet, że nasi „producenci i dystrybutorzy zdają się nie widzieć szansy dla polskiego kina artystycznego, jaką jest wejście do europejskiej rodziny filmowej, do systemu koprodukcji i dystrybucji, w którym znajdują się od dawna inne kraje środkowo- i wschodnioeuropejskie”.

O ile kinematografia nie może nabrać rozpędu, o tyle promocja muzyki i literatury pięknej kuleje na obie nogi. Krytyka wartościująca właściwie przestała istnieć, krytyka opisowa zaszyła się w jakichś niszach, promocja i dystrybucja polskiej poezji i prozy zaczyna mieć więcej wspólnego z polityką personalną i jednostronnym bandytą niż z edukacją i sztuką.



Lecz najsmutniejsze jest to, że piewcy zdrowego rozsądku nic sobie z tego nie robią, bo są przekonani o tym, że dźwięki, obrazy i słowa to byty zbyt abstrakcyjne, aby traktować je serio. Można się bez nich obyć, reklamują się same. W arcyciekawym wywiadzie udzielonym niedawno dziennikowi „Polska The Times” dyrektor Instytutu Adama Mickiewicza, Paweł Potoroczyn, powiedział: „Jeśli chcemy być poważnym graczem – a jesteśmy pod względem wielkości szóstym krajem UE – to musimy pokazywać to, co najlepsze. Inaczej będziemy trzymani na dystans i tylko czasem, przez grzeczność, gdzieś zapraszamy. Kultura to nie jest spiszek pięknoduchów, konspiracja darmozjadów, ani przyszłowiowy kwiatek do kożucha. Czy się to komuś podoba, czy nie, dziś kultura to zyskowny dział ekonomii”.



Ślad

Tomek od Zalewskich, mały pokurcz, rzucił pierwszy. Grudka ziemi, zbita, twarda, trafiła w udo. Pomyślała: nic to, najwyżej zostanie mały siniak i szła dalej, nawet bardziej wyprostowana niż poprzednio. Wraciała z Zaleszczy, jak zawsze niedzielnym porankiem, gdy słońce spiło już rosę, a w głowie wirowały wspomnienia, huczało od wibrujących dźwięków gitar, huku perkusji. Po tych godzinach tanecznego szau, kiedy wchodziła w krąg dygocących nerwami ciał, a oczy wypatrywały przyjaznych, pożądliwych spojrzeń, gdy czuła dotyk spocynych, oślizgłych, niecierpliwych dłoni, była niemal szczęśliwa.

– Będzie co wspominać, jak zawsze, jak co tydzień.

A na co dzień mijające godziny przesłania szare wnętrza sklepu, w którym lepką marmolada miesza się z gwoździami, sznurami, łańcuchami, nogi potykają o sterty worków, skrzynki z butelkami piwa, wina. Zanim zdola uporządkować rachunki, posprzątać na zapleczu, przetrzeć podłogę, na dworze jest już szaro albo ciemno. Zresztą, nie ciągnie jej do domu, gdzie żonaty brat coraz markotniej patrzy na nią i przypomina o umowie między nimi, która wygasa niebawem. Miało być tylko na pół roku, a w między czasie coś się wynajmie u ludzi, a może i zbuduje jakąś klitkę przy sklepie. Nic z planów nie wyszło. Chociaż nie, jest iskierka nadziei. Spotkała w Zaleszczach młodego Lipca, przetańczyła z nim nie jedną godzinę, nawet wczoraj oderwać się od siebie nie mogli, nic ino chodź i chodź. Szła, ale co to za taniec na odległość, inni włożą między nich, próbują odciągnąć, zagadują. Staszek już nie raz prosił, by zechciała odwiedzić jego rodziców, przedstawiłby ją, a jak się im spodoba, za żonę weźmie. A dom niczego sobie, za ogrodzeniem i dwa piętra. Pokoje pewnie obszerne, słoneczne, nie to, co u brata, i samochód jest. Przecież na utrzymanie pójdzie, pracę ma, darmo jeść, stołków wysiadywać i pościeli brudzić nie będzie.

Tak sobie myślała idąc skrajem lasu poza wsią. Już miała skrócić na szeroką miedzę, co prosto prowadzi do rodzinnego obejścia, gdy Zalewski wyrósł przed nią jak spod ziemi. Chciała wyminąć, ale zaszedł drogę, głupio się uśmiechając. Jeszcze raz próbowała z drugiej strony i nawet odepchnęła natargiwywie napierającego Józka. Wtedy niespodziewanie zza drzew wyszło jeszcze paru mężczyzn. Stanęli w pewnym oddaleniu i każdy, schylając się uprzednio, podnosił grudkę ziemi i cisnął w jej stronę. Przesztraszyła się i ruszyła biegiem przez świeżo zorane pole. Gdzie tam, dogonili, osaczyli, czuła ich kwaśny, przepity oddech. Próbowała coś mówić, prosić, ale nie, nie słuchali.

(Dokończenie na stronie 20)